Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 16.** **Leszno,** *dnia* 19. *Października* 1839.



Góry Pieniny (w Galicyi).

Góry Pieniny.

(*Z obrazów Galicyi.*)

Zaraz koło miasteczka Krościenka, 7 mil od obwodowego miasta Nowego-Sądcza, wznoszą się góry Pieniny, jedna z najciekawszych odnóg karpackich. Przyroda nie jest tu już tak wzniosła i wspaniała, jak w głównych Karpatach, jednakowoż obfituje w rozliczne piękności. Całe pasmo gór tych zajmuje może tylko milę kwadratową, zaczyna się przy końcu nowotargskiéj doliny, koło Czorsztyna, i ciągnie się, przecięte od złączonego Dunajca, aż do Krościenka. Sąto same późniejsze wapienia, przez które się niespokojna rzeka przerznęła. Nawet najżywsza wyobraźnia, połączona z zręcznêm, poetycznêm piórem, nie wydoła opisać rozmaitych piękności i przyjemności téjto górzystéj okolicy. Tutaj wznosi się sędziwa skała wpośród lasu i mami sporzącego kroki wędrowca, który myśli, że widzi przed sobą gruzy starego zamku; tam znowu przeraża go bezdenna roztwarta przepaść, w któréj głębokości mruczący strumyk szumi. Ciemne lasy sosnowe, bujne łąki kwieciste, odmieniają się na przemiany. Szczególnie malowniczy widok przedstawia tutaj Dunajec, który ścieśniony dwoma stromemi ścianami skalistemi, kręto, jakby wąż niebieski koło ściany południowéj doliny się przedziera, a potém ku wschodowi w przyjemną dolinę górską wstępuje. Najwyższy szczyt Pienin zwie się *Sokolica*, zapewne od wielu sokołów, które się na nim niegdyś gnieździły; od południowéj strony wznosi on się kilkaset sążni bystro do góry, od północy zaś powoli się zniża. Grzbiet jego obrosły wysokiemi sosnami, które nie mało piękności dodają. Niedaleko ztamtąd znajduje się obszérna pieczara. Jeden z najpiękniejszych widoków w odległość, przedstawia nam się z najwyższego wierzchołka góry, wznoszącéj się od zachodu. Przed sobą ku południowi widzimy urodzajne Węgry i samotny tak zwany *Czerwony klasztór*, niegdyś do zakonu Trappistów należący i od wszystkich zwiedzających tę okolicę znany i uczęszczany. Koło tego spustoszałego klasztoru tworzą dolinę Dunajca, która to rzeka w przełom tak zwanych koronnych gór wstępuje, wysokie i bystre, częstokroć prostopadłe ściany skaliste; jest ona tak wązką, że podczas małéj wody z trudnością tylko pieszo przejść można. Właściwie tworzą lewą ścianę doliny tylko owe, od podróżnych tak zwane góry koronne, które nazwę swą od śpiczastych końców, do hrabskiéj korony podobnych, otrzymały. Stósowniéj jeszcze możnaby je porównać z rzędem blisko koło siebie stojących domów, których śpiczaste dachy końce téj ściany skalistéj przedstawiają. W oddaleniu może jednéj ćwierci mili, rozszerza się znowu nieco dolina, jednakże aż do Krościenka ciągle jest jeszcze wązką, dopiero poniżéj miasteczka, coraz staje się szérszą. Od złączenia się z Białką, która na galicyjskiéj stronie z głównych Karpat z Morskiego oka wypływa, aż do połowy mili, poniżéj Czerwonego klasztoru, tworzy Dunajec granicę między Śpiżem i Węgrami. Powierzchnia wody jego wzniosła tutaj 1520 stóp nad poziom morza.

Pieniny posiadają także historycznie ciekawe miejsce. Sąto gruzy zamku, leżące wpośród gór na stroméj skale. Na samotnych rozwalinach murów, rosną teraz jodły i buki, a w zdziczałym ogrodzie zamkowym rosną jeszcze krzaki bukszpanowe wpośród bujnych roślin górskich. Nader trudny przystęp do tego obronnego zamku dał pewnie powód do pobożnego podania, jakoby go zbudowali anieli. — Podczas drugiego napadu Tatarów pod Nogajem i Telebugiem, ukryła się tutaj roku 1259 święta Kunegunda z 70. zakonnicami. Tatarzy oblegli zamek, lecz podług powieści, na prośbę świętéj, tak gęsta mgła upadła, iż oblegający nieprzyjaciele, nic nie zrobiwszy, wrócić musieli. Po obu stronach Dunajca, który tutaj wązką dolinę górską przerzyna, leży miasteczko Krościenko, a niedaleko ztamtąd Szczawnice. Do ciekawości Krościenka należą nowo założone kąpiele i źródło kwaśnéj wody, leżące na prawym brzegu w parowie, które w 2ch funtach wody z następujących cząstek się składa:

Solanu sody	3,049,470
Solanu wapna	7,436,650
Węglanu sody	1,750,911
Węglanu magnezyi	8,744,555
Gazu kwasu węglowego .	27 sześciennych cali.

Pieniny mają równie, jak wszystkie wapienne góry, bardzo obfitą wegetacyą; pomiędzy innemi kilka alpejskich roślin. Znany botanik, Dr. Herbich, odkrył tutaj nowy odznaczający się rodzaj rośliny, którą nazwał *Chrysanthemum Zawadzki*, i która się w dziele jego: *Additamentum ad floram Galiciae*, opisana i wyobrażona znajduje.

Formalista, czyli *czarno na białém.*

(Dokończenie.)

P. Planowski. Wszystkiemu łatwo zaradzić. (Do kucharza:) Czego ugotować nie zdążysz, każ przynieść od Zbarborego; to najlepszy restaurator; a wreszcie mniejsza o to, że trochę mniéj wykwintny obiad zje raz w życiu pan konsul! (Do kredencerza:) Kupisz najpiękniejszych owoców u przekupek. (Do kamerdynera:) Nakryj do stołu w salonie. (Do szafarki, ogrodnika i frotera:) A wy dobrzeście się waszemu panu zasłużyli. Oświadczam wam moje zadowolenie. (Ci się kłaniają i odchodzą.)

Kucharz (odchodząc, sam do siebie.) A ja za służbę podziękuję! Bo już mi kością w gardle taki porządek.

Kamerdyner (odchodząc).

Byle mi do 1go. dosłużyć! Więcéj we wszystkiém mitręgi, jak służby!

Kredencerz (odchodząc).

Nudna taka służba! Za każdą rzeczą od Anasza do Kaifasza. Dalipan! że i kwartału niedosłużę!

P. Planowski (do żony).

Widzisz kochanko, jak to wszystko porządnie idzie, byle tylko trzymać się stale tego, co się raz *czarno na białém* położyło!

Pani Planowska.

Biedna ja, biedna, z takim porządkiem!

P. Planowski.

Moja przyjaciółko! wypadek ten zaciągnie się w kratkę, przeznaczoną w budżecie naszym na nieprzewidziane wydatki; a daleko lepiéj przyczynić sobie kosztów, niżeli odstąpić od raz przyjętego trybu.

(Wchodzi Jan, meldując.)

Pan nauczyciel z paniczami.

Pani Planowska.

Niech wejdą, niech wejdą, jeszczem ich dziś niewidziała! (Jan nieodchodzi.)

P. Planowski.

Cóż ich tak rano sprowadza! to nie pora, w któréj zwykłem ich widywać! (Do lokaja:) Dzieci odprowadzić do ich pokoju: pana Oświatowskiego prosić, gdyż mam z nim coś do pomówienia. (Jan odchodzi.)

Pani Planowska.

Więc dziś niezobaczysz twoich synów, jedziesz niebawnie na sessyą, a oni za godzinę, jak ci wiadomo, na kilka tygodni odjeżdżają na wieś.

P. Planowski.

Rozkład czasu, porządek przedewszystkiém! Do tego trzeba wcześnie dzieci przyuczać.

Pani Planowska (z żałością).

Formalność i akuratność, przytępiają w nim wszelkie uczucia!

(Wchodzi nauczyciel.)

P. Planowski.

Choć w niezwykłéj porze, rad jestem widzieć pana Oświatowskiego; ale cóż mi go sprowadza?

Nauczyciel.

Metr muzyki uchybił swéj godziny; korzystaliśmy z czasu, pragnąc pana pożegnać przed naszym odjazdem; przytém chciałem trochę obszerniéj pomówić o moich wychowańcach.

P. Planowski.

Jakże tam moi synowie postępują pod światłém jego przewodnictwem?

Nauczyciel.

Znając ważność niedawno podjętego obowiązku, chciałbym naradzić się z rodzicami, znającemi bez uprzedzenia przymioty i wady swych dzieci; udzielić im moich uwag i postrzeżeń nad charakterem i zdolnością moich wychowańców; a tak wspólnie sobie dopomagając, skuteczniéj i łatwiéj będę mógł odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu.

Pani Planowska.

Jakże przez to samo powiększasz pan naszę ufność i szacunek!

P. Planowski.

Ja mu i ufność i szacunek oddałem, skoro przeczytałem systemat i plan edukacyi, przez niego na moje żądanie napisany.

Nauczyciel.

Wypełniłem w tém wolą pańską, ale kreśląc ten plan, czułem i znałem, jak teorya daleką jest od praktyki, jak wszystkie plany i metody wychowania domowego, ulegają nieskończonym modyfikacyom, stósownie do okoliczności, do charakterów. I właśnie starszy syn państwa nader jest trudnym do prowadzenia. Umysł bystry, pojętny, ale nieugięty; serce dobre, ale.....

Pan Planowski (przerywając).

W każdym razie trzymać się należy raz przyjętych zasad. Wytrwałość daleko zaprowadzić może. Pan napisałeś swój plan edukacyi, ja go potwierdziłem, podpisałem; mamy przeto najważniejsze już zrobione, bo *czarne na białém*. Trzymając się pewnych, nieodmiennych prawideł, mamy niejako usprawiedliwienie i podporę naszego postępowania z dziećmi, co bardzo wielką, nieocenioną staje się pomocą w wychowaniu. Tak napisano, tak przepisano i basta! Niech o nic więcéj nie pytają. To tylko miałem panu do zalecenia.

Pani Planowska (pół smętnie,
pół żartobliwie).

A ja proszę, zaklinam pana, ażeby synowie moi nieznali, niewiedzieli, co znaczą formuły, przepisy, plany, urządzenia, organizacye, prawidła, systema, metody, tryby i tym podobne wyrazy, ciągle brzmiące w ustach formalisty!

(Wpada Jan z przerażeniem).

Państwo! gore! Zapaliło się w kominie.

Pani Planowska.

Ach dzieci nasze! Gdzież są? (Wybiega.)

P. Planowski.

A moja organizacya? Gdzieś mi się zarzuciła. (Szuka jéj na stole między papierami.)

Nauczyciel (patrząc w okno).

Dym i płomień okropny bucha, trzeba nam ztąd wychodzić, niech pan wyda jakie rozkazy.

P. Planowski.

Wiedzą dozorcy i kominiarze, jaka ich powinność w tym razie; ja chwili nie mam do stracenia. (Patrzy na zegarek.) Ach! za kwadrans mam czytać moją organizacyą na sessyi! Muszę spieszyć.

Pani Planowska (przelękniona wbiega).

Uchodźże ztąd mężu, i spiesz na podwórze; komin się rozpękł, cały dom może spłonąć. Co tu straty, co tu szkodyby było!



Andaluzyjczykowie.

P. Planowski.

Jestem spokojny zupełnie. Wszystko śpieszne, dom oceniony i zabezpieczony w towarzystwie ogniowém, opłacam procenta od 200,000. Wszystko to jest *czarne na białém.* Widzisz, że zawsze na moje wychodzi! — No, uchodźmy ztąd; ratujcie, co możecie, ja moją organizacyą wynoszę. Ciekawym, jakie też sprawi wrażenie!

Ułamek z najnowszéj podróży po Hiszpanii.

Przebywszy Pireneje, ów mur piętnastu mil grubości, ręką przyrodzenia pomiędzy Francyą i Hiszpanią wzniesiony, wstępujesz do krainy, która z żadną inną w Europie porównaną być nie może. Jadąc od Oleron, jedyną wolną do przebycia, przez Karlistów zostawioną drogą, puszczasz się ciasnym gościńcem, ciągnącym się nad rzeką Gave: nad głową twoją wznoszą się ośnieżone gór szczyty, gdy oko twe błądzi w około po bujnych gajach i prześlicznych ogrodach; wszędzie cię otaczają dzikie piękności przyrody, wszędzie spostrzegasz ślady ręki ludzkiéj. Zaledwie zaś ujrzysz hiszpańskie graniczne słupy, wszystko nagle się zmienia, jakoby na skinienie rószczki czarno-księskiéj. Okolica smutna i nieurodzajna, gościniec wązki, wiodący pomiędzy samemi niezmierzonemi, z obydwóch stron drogi głębokiemi przepaściami. Wóz, jeśliś go dotychczas używał, musisz natychmiast porzucić, a nająć muła, zrodzonego do takiéj drogi. Zwierzę to stąpa z tobą wolnym, lecz pewnym krokiem; pierwszego dnia jedziesz zwykle z Urdax do Canfrun, drugiego z Canfrun do Ayerbe. Od czasu, jak drogi do Biskai i Katalonii są zamknięte, ta droga tylko do Hiszpanii jest wolną.

Uwagi godnymi są ludzie, trudniący się chowem i wynajmywaniem mułów w tych okolicach. Sąto silni, rośli i odważni ludzie, nieznający i niezważający na żadne niebezpieczeństwa. Im daléj do Arragonii wstępujesz, tém coraz w smutniejszym obrazie widzisz nędzę; wszędzie spotykasz tłumy żebraków, obdarte i wynędzniałe dzieci po drogach, wyciągające drobne swe rączęta po jałmużnę. Karczmy nieporządne, są takie same, jak były za czasów Don Quixota; strawa, jaką ci podają, chyba zgłodniałemu smakować może; wino przechowują w worach skórzanych. Uderza cię także w pogranicznych miastach przedajność urzędników, ręce na kubany do podróżnych wyciągających. Cło jest tym samym sposobem urządzone, jak we Francyi: poszukiwanie wprowadzanych towarów ścisłe, lecz kilka złotówek wciśnionych w rękę celnika, ułatwi im wstęp do kraju.

Pisarze dawniejsi podziwiali piękne hiszpańskie krainy; nie jeden wieszcz opiewał w pie-



Arragończykowie.

śniach swoich czarujące cytrynowe i oliwne gaje i urodzajne niwy nad brzegami Ebru. Dziś napróżno ich szukać będziesz; mojém zdaniem w całéj Francyi nie znajdziesz tak smutnego i bezludnego kawałka ziemi, jak dolina Gallego, na drodze do Sarragossy. Na przestrzeni 15 mil geograf. nie znajdziesz ani jednego drzewa; od Ayerbe do Saragossy same piaski nieurodzajne, a na nich gdzie niegdzie krzaki rozmarynu rosnące; wśi żadnéj nie widzisz; na całéj téj przestrzeni dwa nędzne napotykasz miasta, Gurrea i Zuera. Znudzony tą jednostajnością, ujrzałem nareszcie sławną Sarragossę, podobną na pierwszy widok wysmukłemi swemi wieżami do jakiego z miast wschodu. Czterdzieści ośm kościołów, w których po większéj części zakonnicy służbę bożą odprawiali, próżne dziś stoją. Ulice miasta wązkie, domy wysokie. Mieszkańcy Sarragossy przypominają ci zaraz, gdy się z nimi wdasz w rozmowę, iż onito stawili dumne swe czoło w dwóch oblężeniach francuzkim wojownikom: prowadząc cię na miejsca rzeźi, gdzie żołnierz z żołnierzem walczył szczegółowo, pokazują, jak dom po domu zdobywanym być musiał przez Francuzów: jak nieprzyjaciel niemógł się szczycić posiadaniem miasta, chociaż okopy i mury były w jego ręku. Dumny Arragończyk ma się sam za prawego Hiszpana, dla tego patrzy na ziomków swych z innych prowincyj pogardzającém okiem.

Niewiasty arragońskie walczą o pierwszeństwo co do piękności z Walencyankami. Wysmukła ich kibić, oko czarne pełne ognia, ubiór skromny, lecz gustowny. Twarz okrywa zasłona czarna, podnosząca tém bardziéj białość twarzy; skromne i pobożne, trzymają się ściśle zwyczajów przodków, gardząc modami wkradającemi się pomiędzy polerowniejszą klassę z sąsiedniéj Francyi. Żałować tylko należy, iż wstąpiwszy w związki małżeńskie, smutne i jednostajne prowadzą życie, gdyż wola męża, jest dla nich wolą samowładnego pana.

O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim.

(Ciąg dalszy.)

Jastrząbka gdzieniegdzie zowią **kogutkiem**; kuropatwa jest **kurą** albo **starką**; dziki gołąb', **grzywaczem**; turkawka, **gołąbkiem**, **kwilotem**; drop', **indykiem**, bieg jego, **unoszeniem**; dzięcioł, **kowalem**; bocian, **bociem**, albo **bockiem**, lub **buśkiem** (po rusku **czornohus**); dzika gęś, **gąską**. — Ptaki **jadą**, t. j. latają; **padają**, **okrywają**, siadają; **biesiadują**, przebywają; **wędrują**, w jesieni odlatują; **koczują**, przebywają gromadnie; **błąkają** lub **błądają**,

z miejsca na miejsce się przenoszą; wiszą, kiedy na powietrzu w jedném miejscu się ważą; są w krzyżu, np. jastrzębie, kiedy rozciągniętemi skrzydły krzyż tworzą; paprzą, grzebią; kąpią się, tarzają w piasku; furnają, raptem odlatują albo zrywają się; brykają, odjeżdżają, nietrafione ulatają; wiosłują, pływają; mogą być albo obarczone, postrzelone, albo koziołkować, przewracać się w powietrzu, albo spaść z dymem, upaść kamieniem, t. j. spaść zaraz po strzale; opiérzyć, znaczy tak strzelić, że się tylko piérze z ptaka posypie. Ptaki przeoczają, przez sieć uciekają i nie chwytają, ale łamią inne ptaki. Lot słomki jest przeciąganiem; krzyka wymykiem; derkacza i przepiórki uskokiem; kuropatwy i dropia bieganiem; dzikich gęsi i kaczek, żórawi, ciągiem; dzikich gołębi, siewek, turkawek, obłokiem, chmurą, kiedy lecą gromadnie. Piękne ubarwienie ptaków jest ubraniem; skrzydła ich są loty albo żagle; miejsce ich padania siadłem, ziarnikiem, żerowiskiem, tokiem, paprzą; gniazdo drapieżnego ptaka, pieleszem; czas zbierania się ptaków, zloty. Młoda gęś, kaczka albo kuropatwa, mało co upiérzona, zowie się farbówką.

Polowania z drapieżnemi ptaki należą do najdawniejszych: używano u nas orłów, sokołów i różnych ich gatunków, jako białozorów, t. j. sokołów bielejących na starość, kobusów, rarogów, krogulców, jastrzębi, bądź krajowych, bądź zagranicznych. Gniazdowiec jest ptak z gniazda wzięty; gałęźnik, który dopiero z drzewa na drzewo wylatuje; takie mają być najlepsze do polowania. Dobry sokół i w ogóle każdy ptak drapieżny powinien być chudy, oczu pełnych ognia, skrzydeł silnych, nóg mocnych i szponów ostrych. Drapieżnym ptakom odbierają dzikość bezsennością, a potém je uczą, co się nazywa unoszeniem. Żywność dla wszystkich tych ptaków, świeża być powinna, a trzymać je należy w miejscu chłodném. Iść czarnym szlakiem, albo berem, znaczy podchodzić lotną zwierzynę; pod piérzem szczwać, polować z ptakiem drapieżnym.

Uboższym jest język łowiecki co do ptaków, których państwo jaśnieje rozliczném barw bogactwem, zajmuje tysiącznemi pieśniami, może dla tego, że nie wszystkie nazwy i słowa są znajome; wiele także ptaków nie należy do zwyczajnego polowania. Nazywają jeszcze szczygła kulczykiem; wilgę, gwizdą; sojkę, babą; kukułkę, kukawką; jaskółkę domową, domaszką; rybitwę, rybakiem; dudka, wudwudkiem; bąka, hukałem, albo hupałem. Sąto nazwy łowiecko-ptasznicze; słyszałem je od ptaszników częścią w królestwie, częścią w Galicyi. Jak zaś rozmaite jeden ptak miewa nazwy, patrz Zoologią Jarockiego tom II. str. 116. I jeden i tenże sam ptak różnie w różnych stronach nazywany. (*)

Słowa łowieckie są bardzo właściwe; żaden inny wyraz nie wyrówna słowu kicać na oddanie powolnego biegu zająca, a zając w największym pędzie czyliż nie kładzie się po sobie? albo któż nie widział na polowaniu, jak zając łamie charty, jak przez swoje różnostronne, szybkie ruchy, w istocie zdają się łamać? Głosy niektórych zwierząt, jak żubr jęczy, jeleń beczy, lis skomli, wiewiórka pryska, orzeł szczeka, sęp kłapa, sokół kwili, kuropatwa gdaka, cięgoce, przepiórka bije, gęś gęga, drop' ksyka, słomka chrapi, śnieguł piszczy, gołąb' bębni, grucha, bruka, żołna skrzeczy, kwiczoł piska, kawka plegoce, skowronek dzwoni, przepierkuje, jaskułka piskoce, żuraw' struka, puhacz woła (**), jak wiernie oddane. Co powszechnie parzeniem nazywamy, myśliwi zowią u jelenia bekaniem, u niedźwiedzia grzaniem, u głuszcza tokowaniem, u jarząbka graniem, u kaczek deptaniem, i naturę żywiéj malują. Nie będę się rozwodził nad pięknością każdego słowa; nie ujdzie zapewne baczeniu znawców, a przyjaciele ojczystéj mowy ujrzą i w jéj odnodze, w języku łowieckim, tę cechę wyższości, która stanowi jéj starszeństwo między siostrami sławiańskiemi. Pełen życia i poezyi jest nasz język łowiecki, żaden powszechnie używany wyraz nie zdoła zastąpić słów jego; są one w porównaniu z niemi, czém kwiat sztuczny z kwitnącym. Ale cóżby na to rzekli ś. p. niby klassyczni literaci, którzy obsiadłszy trójnogi rzymskie, w naturze tylko geografią, zoologią, botanikę, albo mineralogią, w mowie ludzkiéj tylko gramatykę Kopczyńskiego widzieli; coby rzekli, że w szczególnych słowach języka łowieckiego polskiego, więcéj jest poetycznéj prawdy, niż we wszystkiéj rymowanéj prozie Delilla?

Strzelba świeży albo żywi, kiedy nie do razu ubija; dołuje, góruje, bokuje, rozrzuca, albo gęsto bije. Koniec rury jest okiem; częściami strzelby są: kolba, lufa, albo rura, cel, łoże, przykład, ujęcie, warkocz, stępel, kapsel, kominek, zamek i t. d. Rozmaite także mają nazwy, n. p. pojedynka, dubeltówka, ptaszniczka, kniejówka, szmigownica, dziwerówka, jańczarka, tyrolka, sztuciec, i t. d. Sieci jest mnóstwo, jako: płot, parkan, na grubego zwierza; rozjazd, włok, trokówka, płotek, pajęczyna, niewód i t. d. I trąbki są różne: charciówka, borówka, kniejówka i t. p., i trąbi się rozmaicie

---

(*) Nietoperze w sandomierskiém nazywają pięknie wieczorkami.

(**) Mówią także puha, i to słowo maluje głos jego; pierwsze zaś powstało z mniemania pogańskiego i dotąd trwającego, że puhacz przeczuwając śmierć ludzi, woła tych, którzy umrzeć mają.

według potrzeby. Jest także kilka słów obcych w używaniu, mogą one być ojczystemi zastąpione: apel (przybywaj), cwajnos (dwunosy), forsować (kuplować) i t. d. Do łowców należą: myśliwi, strzelcy, sokolnicy, bobrownicy, ptasznicy. Nie mieliśmy w zamiarze rozszerzać się nad wszystkiém, co dotycze łowiectwa, i chcących obszerniejszych wiadomości, odsełamy do dzieł, o tym przedmiocie mówiących. (*)

Rzekniemy nakoniec słów kilka o świecie łowieckim. Kiedy jeszcze pola i lasy bóstwami były ożywione, a rzeki i jeziora oszumiewały pląsaniem i wesołém pluskaniem dziewic, źródeł opiekunek; jakież tam życie oddychało wszędzie, jak wszystko silnie przemawiało do duszy człowieka, jakie go wrażenia przenikały, jakie myśli wyrzucał z przepełnionéj piersi! Zatarły je czasy późniejsze aż do najdrobniejszych okruchów. Obszerny jest świat łowiecki, najeżony górami i skały, zaczerniony puszczami, rozjaśniony zwierciadłami rzek i stawów, straszny przepaściami, uśmiechający się rozległemi rolami i błoniami, jaśniejący różnowzorowemi barwy, brzmiący tysiącem dźwięków. Tu się puszą na berłach sokoły w karnalach (kapturach), tu psy snują drżące od niepokoju i zapału, tu jak na wojnę idzie wyprawa na odyńca lub niedźwiedzia; ówdzie pola migają rozsypanemi jeźdźcami i lotnemi charty; w około lasów wstają płoty, słychać muzykę w kniei; myśliwy wypręża oko na przesmyku, tam samotny idzie za psem przewodnikiem, albo czatuje ukryty w burzany. Jednych blask słońca oblewa, drugim wieczór przychylniejszy; tych zorza, tych światło księżyca prowadzi; inni lubią noc ciemną, albo ją pochodniami rozświecają. Ci w kręte wąwozy wnikają, ci toną w nieprzebyte gęstwy, ci lgną w dyszące moczary, ci posuwają saniami po iskrzącym śniegu. Ale któż zdoła wiernie opisać ten ruch ogólny, tę wrzawę różnojęzyczną, tętęt koni, lot psów, pęd zwierząt, ich obroty, trwogę, wściekłość, bój, grzmoty broni, trąb huki, zapał ludzi i setne ich uczucia; głosy szczególne, niknące w ogólnym gwarze; a ten gwar powtórzony odgłosem, rozbity o gór ściany, rozsypany po dolinach. Uważać można polowanie jako żyjące poema; musiało ono wpływać na umysł łowców, prędszy krwi obieg, mocniejsze życie, tyle barw i dźwięków, tyle lat przepolowanych znajdowały malarzy w języku poetyckim. Dodajmy do tego niewiasty, które czarodziejskiém okiem rozświecały koła myśliwych, (bo kobiety w one czasy nie drżały na widok rumaka, nie mdlały na wystrzał, ale za to nie rodziły, jak dzisiaj, chrząszczów, ale lwy), rozmaite przygody i wypadki i świat rycerski, spokrewniony z światem łowieckim. Nieraz zapewne na zgromadzeniach łowców rodziły się pomysły to jak żubry, jak lekkonogie sarny, jak szczebiotliwe ptaki, — bo myśl rozogniona, wiecznie za temi przedmiotami goniąca i wiecznie je przed oczyma duszy trzymając, niejako ich odcisk, ich odblask w słowach wydawała i mowę okrywała różnobarwną suknią zwierząt. Z tylu marzeń, z tylu powieści, cóż pozostało? szczątki obrazów, zamglone wyjątki z opisów, szczególne nazwy, samotne myśli, prawie tylko echo niewyraźne przeszłości. Myśliwi nie stanowili osobnéj kasty, wiadomości ojca często nie przechodziły do syna i z nim umierały. Miejsce bóstw wygnanych zastąpiły na świecie łowieckim duchy i strachy, jakoby cienia zagniewanych bóstw pierwotnych. Co było niegdy prawdą, stało się zabobonem, a wiara w nie pozostała już tylko u ludu.

Zabobonni myśliwi wierzą w duchów złych i dobrych. Do złych należą: Boruta, któremu, dla ułagodzenia, naczynia z potrawami wystawiają; zły duch, albo szatan, przybierający na się różne postaci zwierząt, i trapiący czasem całe dni strzelców, gdyż ci ustawicznie strzelają i chybiają; mara, która w postaci mgły, albo pary, zamydla oczy strzelców; tuman, tylko w nawalnéj źimie prześladujący myśliwych, sprowadzając ich na obłędne szlaki. Myśliwy, będący w porozumieniu z dobremi duchami, mieć może na strzał, co zechce, i zawsze ubije; dobre duchy, w postaci ptaków, najczęściéj wron, kukułek, pokazują drogę strzelcom. Wierzą w czary, strzelbę mogą zaczarować samém spojrzeniem złe oczy; takie oczy najpospoliciéj mają młynarze, dziady włóczące się z torbami, i baby. Strzelba zaczarowana może sama wystrzelić, dla tego na noc w pokoju nie trzeba jéj zawieszać; dla zabezpieczenia zaś od uroków i czarów, wyrzynają na kolbie rozmaite znaki, figurki i krzyże. Spotkawszy złe oczy, należy nabój wystrzelić, a strzelbę opluwszy, położyć na źiemi, aby źiemia czary wyciągnęła, ale to skutkuje tylko zaraz po zaczarowaniu. Zakopanie lufy pod próg, którędy się przechodzi, ma czynić strzelbę niezawodną; w roztopiony zaś ołów wrzucają serce nietoperza, aby kule były dobre. Aby strzelba nie żywiła, trzeba wrzucić w nią żywą gadzinę i wystrzelić, albo wpuścić kilka kropel krwi z ubitéj zwierzyny. Strzelcy niektórzy i gajowi wieszają na płotach i bramach głowy zwierząt, ptaki, albo ich skrzydła; strzeże to ich od czarów i sprowadza szczęście. W niedzielę i święta polować nie należy, bo się nie szczęści. Strzelcy omijają niektóre ścieżki, pod niektóremi drzewami nie strzelają, niektóre miejsca obchodzą

(*) Niektóre z dawniejszych są:
Myślistwo z ogary Jana Ostroroga.
Myślistwo ptasze.
Gospodarstwo jeździeckie, strzelcze i myśliwe.

wróżą z lotu ptaków, z wianków wiszących na obrazach albo figurach nadrożnych, z chodu i twarzy zdybywanych osób z księżyca, którego odmiany wywierać mają wpływ na węch psów; z gwiazd, z ułożenia chmur i obłoków na niebie i t. p., lecz sąd ich w téj mierze opiera się raczéj na indywidualnych wyobrażeniach, niżeli na pewnych ogólnych prawidłach. Wilkołek, albo wilkołak, jest człowiek, mogący się przemienić w wilka; wiara w nie jest bardzo starożytna; strzelcy wystawują go sobie jako wilka z głową człowieczą, długą i brodatą; istota ta może znowu do dawnéj wrócić postaci, jest bardzo mściwa, i wielkie, szczególniéj w owczarniach, robi szkody.

(Koniec nastąpi.)

Rozmaitości.

Galwaniczny telegraf.

Pismo angielskie: *Morning advertiser*, daje następujące sprawozdanie z urządzonego na kolei żelaznéj Great-Wester telegrafu: „Słój do téj machiny, który wygodnie na stole da się postawić, nie jest większy, jak pudło od kapelusza. Telegraf ten pracuje za pomocą małych klawiszów, przez galwanizm w ruch wprawionych, a które na przeciwnym punkcie telegraficznéj linii pokazują litery, jakie te klawisze oznaczają. Pomiędzy niemi znajduje się także jeden z krzyżem, służący do oznajmienia, kiedy pomyłka zaszła w depeszy, a zatém, iżby całe doniesienie jeszcze raz powtórzono. Na pytanie n. p., ile podróżnych wyjechało z Puddington wozem parowym, w dwóch minutach otrzymała odpowiedź stacya w Drayton, chociaż obie te stacye przeszło 30 mil angielskich od siebie są odległe. Postanowiła przeto dyrekcya żelaznych kolei Great-Wester rurę galwaniczną przeciągnąć aż do Bristolu. Całe urządzenie machiny i rury kommunikacyjnéj, jest nader proste, łatwe przy każdéj już exystującéj kolei do zaprowadzenia, a mające tę wielką korzyść, że i w nocy takim galwanicznym telegrafem pracować można.

Gorzałka.

Spustoszenia, jakie teraz zabójczy ten płyn zrządza, nie były dawniéj wcale znane. Już samo nazwisko téj cieczy oznacza zniszczenie, jéj techniczne miano jest arabskie, Alkohol, ponieważ w Arabii około roku 1000 po Chr. wynalezioną została, gdzie jednak przez kilka wieków, tylko do lekarstw używaną była. — Ztamtąd około roku 1200. do Włoszech przeniesiona, zkąd pod zwodniczém nazwiskiem *aqua vitae* przez kupców do Niemiec się dostała. — Do reformacyi i wojny trzydziestoletniéj nie znano innego napoju posilającego, jak piwo i miód. W czasie wojny trzydziestoletniéj zaczyna się wódka upowszechniać. Widać to z oburzenia i zakazów, któremi wtenczas szerzącéj się zarazie zapobiedz chciano. (*) Okropne są doniesienia z amerykańskich, angielskich i niemieckich domów poprawy i waryatów, z których się okazuje, że cztery czwarte wszystkich kryminalnych processów i trzy czwarte ubogich, a więcéj niż połowę szalonych, wypływa z zbytniego używania gorzałki!

(*) U nas w Polsce gorzałka od dawnego bardzo czasu była znaną; używanie atoli jéj powszechniejszém się stało dopiero za czasów Jana Alberta, to jest przy schyłku 15go wieku; wszakże wiek cały minął, nim się stała niezbędną potrzebą, ulubionym napojem klas niższych w narodzie. Magistraty po miastach opierały się długo zaprowadzeniu szynków gorzałczanych, przekładając słusznie nad ten trunek piwa wszelkiego gatunku. I tak n. p. w Poznaniu szynki gorzałczane zjawiły się dopiero za panowania Zygmunta III. Odtąd ślachta, żydzi, mieszczanie, zgoła wszyscy, rzucili się na wyścigi do tej gałęzi nieszczęsnéj przemysłu i Polska zamieniła się prawdziwie w same gorzalnie i szynkownie gorzałczane. Na Rusi, Wołyniu, Litwie i Ukrainie wszystko prawie żyto wypalano na gorzałkę i tę wielkiemi kufami po całym kraju rozwożono. Tym sposobem rozpił się prosty lud, utracał zdrowie i chudobę swoję, ale przeciw téj zarazie nikt nie śmiał powstawać, bo gorzałka właścicielom dóbr bardzo znaczne intraty przynosiła. Z gorzałek polskich słynęła szczególniéj gdanska, pędzona ze słodu żytniego i jęczmiennego, a potém rozmaitemi ingredyencyami przyprawiana. Gdanszczanie wywozili ją do Anglii i Hollandyi, i odnosili znaczne korzyści. Rozchodziła ona się także po kraju w flaszach, i każdy, kto na *frijor* do Gdańska się puścił, nie tylko się sam zaopatrzył tamże w puzdra tego trunku, ale go nawet swoim sąsiadom i znajomym przywoził. Na Podgórzu pędzono także gorzałkę z śliwek, która atoli długo stojąc, kwaśniała.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)